

To jest darmowy fragment książki „Kto zgasi światło”, której premiera będzie miała miejsce 22 czerwca 2023 roku. Książka w formie papierowej, e-booka i audiobooka będzie dostępna tylko i wyłącznie przez stronę [zarubieza.pl/ksiazka](https://zarubieza.pl/ksiazka)

Historię powstania tej książki możesz wysłuchać w odcinku 282 „Za Rubieżą” z 10 kwietnia 2023 roku.



## Bodaibo

Najpierw zabrali ojca. Weszli do domu, obudzili wszystkich. Kazali mu się ubrać i natychmiast wyjść. Twarze mieli zimne, dużo krzyczeli. Gheorghe nie rozumiał ani słowa. Matka płakała, siostry też. Oznajmili, że ojciec jest wrogiem klasowym i wyrokiem sądu ludowego został skazany na dwadzieścia pięć lat katorgi. Nie pamięta nawet czy i jak się pożegnali. Gheorghe miał wtedy pięć lat.

Potem przyszli po ich zboże. Nastał głód. Przeżyli dzięki krowie, ale skoro mieli krowę, to znaczyło, że są kułakami.

Noc była upalna. Obudził ich warkot i światła ciężarówek. Do domu wszedł przewodniczący rady wiejskiej w towarzystwie żołnierzy. Powiedział, że są wrogami ludu pracującego miast i wsi. Powiedział też, że mają cztery godziny, żeby się spakować do wyjazdu. Jedzenia mają nie brać. Gheorghe miał wtedy dziesięć lat.

Matka dopilnowała, żeby spakowali ciepłe ubrania, dokumenty i zdjęcia. Gheorghe zastanawiał się, po co mu zimowe palto, przecież był lipiec. Matka powiedziała tylko, żeby robił to, co mu każe. Zawołała najstarszą

córkę i kazała jej zabrać ze strychu worek kukurydzy. Owinęła go w ubrania i nie wypuszczała z rąk. Wsiedli na ciężarówkę. Matka usiadła na worku. Wschodzące słońce oświetlało ich pole. Szykowali się już do żniw. Plony zebrał za nich kołchoz. Do kołchozu trafił też inwentarz, z którego zostali rozkułaczeni: koń, krowa i pięć owiec. Kułakiem był każdy, kto miał dwie krowy, dwa konie, albo za dużo ziemi i najmował parobków do pomocy.

Jechali krótko, raptem godzinę. To nie był jednak koniec. Stanęli na stacji kolejowej w Bielcach. Na bocznicy czekał już długi pociąg towarowy. Lokomotywy buchały dymem z kominów, a wiatr rozwiewał go nad bydlęcymi wagonami z grubych desek. Zagnali ich do środka. Wtedy matka kazała dzieciom zająć wolny narożnik. Ludzie byli zdezorientowani, rozglądali się po wagonie. Matka umościła się na worku z kukurydzą, a dzieci obsiadły ją dookoła.

Kiedy wagon był już pełny, przez otwarte drzwi wleciało wiadro. Za nim pojawił się żołnierz, który z szyderczym uśmiechem powiedział - *zdjes budjetje srat'* – po czym zatrzaskał drzwi wagonu.

Pociąg stawał często. Robiło się wtedy bardzo duszno. Przyzwyczaili się jednak do gorąca, smrodu i

półmroku, jaki panował w środku. Raz dziennie drzwi rozsuwały się nieco w porze karmienia. Dostawali wiadro z gotowaną kaszą i drugie z wodą na pięćdziesiąt osób. Każdemu po garści kaszy, po łyku wody. Drzwi się zasuwały. Półmrok. Pociąg ruszał. Wlókł się do kolejnej stacji. Stawał, przepuszczał wszystkie inne składy i znów ruszał.

Gheorghe nauczył się pierwszego zdania po rosyjsku. Brzmiało ono „wujaszku wypuść mnie na dwór”. Żaden z żołnierzy nie uległ. W ogóle zdawali się ich nie słyszeć, ani nie widzieć. Zareagowali dopiero, kiedy jeden staruszek zmarł. Było okropnie gorąco, bali się chorób. Przejechał tak jeszcze noc i poranek, aż do południa. Wtedy do wagonu weszło czterech żołnierzy, a dwóch zostało pod drzwiami z bronią. Zabrali dziadka i wyrzucili na nasyp. Trup toczył się chwilę i zatrzymał w rowie. Zamknęli drzwi, pociąg ruszył.

Gheorghe wdrapywał się czasem do okienka u góry. Podciągał się i patrzył na świat poza wagonem. Najczęściej widział lasy porastające bezkresną równinę. Szybko jednak zaczęło brakować mu sił, żeby się podciągnąć.

Przez cały czas byli głodni. Kiedy Gheorghe nie mógł już wytrzymać dawał znak matce, a ta ukradkiem sięgała

do worka. Garsteczkę ziaren kukurydzy wkładał do ust i długo czekał aż rozmiękną. Potem żuł je ostrożnie, żeby nie połamać zębów. Dzięki temu workowi ich rodzina nie schudła tak okropnie jak niektórzy.

Jechali dwa i pół miesiąca. Wreszcie pociąg stanął. Drzwi się otworzyły i zobaczyli drogę wiodącą do rzeki. Po obu jej stronach stał szpaler żołnierzy. Obelgami wygonili ich z wagonu i zagnali na barkę. Dopiero na jej pokładzie powiedzieli im, że ta rzeka nazywa się Lena, tak samo jak stacja kolejowa.

Z Mołdawii wyjeżdżali w środku upalnego lata. Gdy wyszli z pociągu zastali pierwsze przymrozki. Matka miała rację, kiedy kazała im zabrać najcieplejsze ubrania, a dopiero potem martwić się o resztę.

Marynarze zamocowali hol i rzucili cumy. Holownik opluł pasażerów barki kłębem dymu z sadzą i oderwał się od nabrzeża. Ruszyli w dół z nurtem. Cały czas padało. Rzeka zasilona deszczem płynęła wartko, mimo że miała dwieście metrów szerokości. Barka była przeładowana, a jej burty ledwie wystawały z wody.

Deszcz nie przestawał padać. Wiatr podnosił fale na rzece. Od czasu do czasu któraś przelewała się przez

pokład. Barka nie miała dachu, siedzieli więc w strugach deszczu.

Z obu burt widzieli tylko rwącą rzekę i las po horyzont. Jedna kobieta cały czas płakała. Przytuliła dorosłą córkę i płakała. W pewnym momencie pocałowała ją mocno, otarła łzy i wyskoczyła za burtę. Ktoś krzychał, ktoś chciał rzucić jej coś. Marynarze podnieśli krzyk, bali się, żeby barka nie przechyliła się za mocno. Nurt niósł ich szybko. Kobieta niknęła z oczu. Nie walczyła, po prostu zniknęła pod wodą.

Po kilku dniach skręcili w prawy dopływ Leny, rzekę Witim. Zwolnili, bo płynęli pod prąd. Holownik męczył się wyraźnie, a krajobraz przesuwiał się wolniej. Tylko deszcz lał tak samo. Było przeraźliwie zimno.

Mijali czasem jakieś ludzkie osady. Wszystkie były niewidoczne, schowane za wysokim brzegiem. Widzieli tylko dym, łodzie i keje. Wreszcie zatrzymali się przy bardziej okazałym nabrzeżu. Dopłynęli do miasta Bodaibo, stolicy rejonu Bodaibo, który był wielki i pusty. Przechodziły przez niego tylko dwie drogi. Jedną była rzeka Witim, a drugą rzeka Bodaibo. Wtedy jeszcze nie wiedzieli, że rejon Bodaibo jest trzy razy większy od Mołdawii, ale zamieszkuje go tylko dwadzieścia tysięcy ludzi. Większość z nich wbrew swojej woli.

Kazali im wyjść na brzeg i czekać na kolejną barkę, która miała zabrać ich do miejsca przeznaczenia. Z ulgą stanęli na stałym lądzie. Tym większą, że przestało padać. Wyszło nawet słońce. Matka wysłała ich po drewno na opał. Kiedy wrócili zastali ją nad kuchenką zrobioną z dwóch kamieni i kawałka pordzewiałej blachy.

Rozpaliła ogień i kładła na blasze ostatnie ziarna kukurydzy z worka. Ziarna leżały długo, aż nagle – PYK! - strzeliło pierwsze. - PYK, PYK, PYK – strzelały następne. Gonili białe wiórki, wyglądające jak kwiaty stokrotki. Jedli i śmiali się z każdego strzału. Prawdziwe strzały słyszeli pięć lat temu, ale dziś nie chcieli tego pamiętać. Myśleli o pełnym brzuchu i o tym, że wszystkim udało się przeżyć ostatnie trzy miesiące.

Kiedy tak jedli i suszyli się przy ognisku zaczęły podchodzić do nich inne dzieci. Patrzyły wielkimi oczami jak małe żółte ziarenka zamieniają się w duże białe wiórki. Zrobili im miejsce przy ogniu i nakarmili. Razem zjedli wszystko, co zostało w worku.

Wsiedli na drugi prom. Dalej pilnowali ich jacyś żołnierze, ale już nie tylu i nie tak poważnie taktujący rozkazy. Wiedzieli, że stąd nie ma ucieczki. Najbliższe miasto i linia kolejowa były kilkaset kilometrów w linii

prostej przez gęsty las. Stąd nikt nie uciekał, bo nie było nic gorszego od samotności w tajdze.

Płynęli w górę rzeki jeszcze przez kilka dni. Zatrzymali się przy małym nabrzeżu osady Amalyk. Zeszli na ląd, wdrapali się na skarpę i zobaczyli wycięty kwartał lasu. Na jego środku stały baraki zbudowane z ociosanych bali. W barakach mieszkali mężczyźni. Jeńcy wojenni. Byli tam Niemcy, Słowacy, Finowie, Rumuni, Włosi, Węgrzy, ale też Uzbegy, Kazachowie, Ukraińcy i inni ludzie radzieccy. Ci ostatni też byli jeńcami. Stalin wysłał na Syberię jeńców z wrogich armii, ale też swoich, którzy trafili do niemieckiej niewoli. Kiedy zostali uwolnieni i wracali, byli karani za to, że nie walczyli do końca i dali się pojmać. Trafiali na Syberię lub do karnych batalionów, wykonujących najniebezpieczniejsze misje.

Jeńców wygnali z baraków i kazali im zbudować nowe, kilometr dalej. Kobiety z dziećmi zakwaterowali na ich miejsce. Gheorghe z siostrami od razu pobiegł do narożnika, najdalej od drzwi. Rozłożyli się na podłodze, bo nie było nawet pryczy. W środku znajdował się tylko piec zrobiony z beczki po oleju, który choć rozgrzany do czerwoności nie dawał dość ciepła, żeby ogrzać cały barak.



Gheorghe leżał na podłodze i był szczęśliwy. Po raz pierwszy od trzech miesięcy mógł wygodnie się rozłożyć, rozprostować nogi. Nie padał na niego deszcz i było cicho. Po kilku dniach dostali nawet prycze. Myślał o jeńcach, którzy tu mieszkali. Musieli pospiesznie zbudować nowe baraki, żeby schronić się przed zimą. Czuł, że ma życie dużo szczęścia.

Siostry były już dorosłe, więc razem z matką skierowano je do pracy przy wycince tajgi. Większość ich osady, a właściwie obozu, stanowiły matki z dziećmi. Jednak ani wiek, ani płeć nie były ważne dla władzy ludowej. Istniały określone normy wycinki drzew na obywatela i musiały one zostać wykonane.

Jeńcy szybko wycięli prostokątny kawał lasu i postawili nowe baraki. Mieli wprawę, bo od końca wojny zajmowali się tylko tym. Rznęli drzewa całą jesień, zimę oraz wiosnę i składowali je w sągach blisko brzegu Witimu. Kiedy w maju śnieg na dachach zaczął topnieć, wiedzieli że zaraz puści lód na rzece i będą mieć nieco wytchnienia. Pod koniec maja, kiedy rzeką spłynęła ostatnia kra, zrzucali bale do wody. To była ciężka praca, ale nie tak ciężka jak wleczenie ściętych drzew przez śnieg sięgający pasa. Obok pracowały kobiety z Mołdawii, w tym matka i siostry Gheorghe.

One piłowały i obcinały gałęzie, a mężczyźni ciągnęli bale do brzegu rzeki.

Wiosną, zanim jeszcze poszedł do szkoły w mieście, Gheorghe obserwował dwóch starszych Niemców. Obaj byli już siwi. Mogli być oficerami, chociaż raczej cywilami zaciągniętymi do bojówek *Volkssturm* pod koniec wojny. Nie wyglądali jakby spędzili całe życie w armii. Tym bardziej tamtego dnia. Ubrani w łachmany przrzucali łopatami zawartość latryny do wiader. Potem przelewali wiadra do beczki. Dodawali wody z rzeki i długo mieszały. Znow napełniali wiadra i szli z nimi pod las. Tam na małym poletku rosły ziemniaki. Obaj Niemcy czule je pielęgnowali, wyrywali chwasty, a potem obficie podlewali nawozem. Pokazali mu te ziemniaki podczas wykopek. Były ogromne. Powiedzieli mu wtedy, żeby też sobie posadził ziemniaki. Nawozu nie zabraknie, bo strażnicy przymykają oczy na czyszczenie latryn. Widział potem jak sprzedawali ziemniaki innym jeńcom. Oficjalne racje żywnościowe nie wystarczały, żeby się najeść. Ale nawet regulaminowych trzystu gramów chleba dziennie i tak nikt tu nie widział. Przydziały były rozkradane na każdym szczeblu. Dyrekcja kradła mąkę, piekarz kradł chleb, a

pracownicy stołówki kroili cieńsze kromki, żeby mieć chociaż jedną więcej dla siebie.

W tajdze obowiązywało prawo, streszczone w jednym zdaniu. *Zakon tajga, prokurator mjed'wiejd'* – kodeks tajga, prokurator niedźwiedź.

Latem jedna z sióstr poprosiła o przydział na pracę w mieście. Dostała posadę w fabryce makaronu i wyjechała do Bodaibo razem z Gheorghe, który poszedł do szkoły. Trafił do pierwszej klasy, mimo że jeszcze w Mołdawii skończył cztery i miał iść do piątej. Nie znał jednak rosyjskiego, bo w ich wiejskiej szkole wykładowym nadal był rumuński. Brakowało nowych, radzieckich nauczycieli, więc tym nielicznym, którzy przeżyli wojnę pozwolono tymczasowo dalej pracować.

Gheorghe szybko nauczył się cyrylicy i podstaw rosyjskiego. Dwie pierwsze klasy zaliczył w rok. Dobrze mu szło, ale nie mógł liczyć na nic poza siedmioklasową podstawówką. Jako wróg ludu powinien się cieszyć, że w ogóle miał prawo chodzić do szkoły. Po lekcjach musiał odpracować możliwość nauki. Pracował jako pomocnik spawacza. Przez dwie godziny dziennie odbijał młotkiem szlakę ze spawów.

W piątek szóstego marca 1953 roku przez szkolny radiowęzeł ogłoszono, że ubiegłej nocy zmarł towarzysz Stalin. Wszyscy płakali. Zmarł ich ojciec, oswobodziciel, obrońca i opiekun.

W 1955 roku władze pozwoliły jeńcom wrócić do domów. Wyjechali Niemcy, Słowacy, Węgrzy i inni. Amalyk opustoszał. Mołdawianom jednak nie pozwolono wrócić do siebie. Oni nie byli jeńcami, tylko kułakami.

Gheorghe skończył siedmioklasową szkołę i został zatrudniony jako woźnica głównego inżyniera w urzędzie miasta. Podobała mu się ta praca. Nie była ciężka, a większość czasu spędzał przy koniach. Lubił zwierzęta i znał się na nich. Tęsknił za swoim koniem przez którego uznano jego rodzinę za kułaków.

Któregoś dnia siostra dowiedziała się w fabryce, że ludzie piszą listy do Czerwonego Krzyża, a on pomaga im odnaleźć członków rodziny. Powiedziała bratu, że powinni napisać list i poszukać ojca. Gheorghe nie pamiętał go i w sumie to było mu wszystko jedno. Siostra była od niego dziewięć lat starsza i tęskniła za ojcem. Napisała list.

Czekała na odpowiedź przez kilka miesięcy, ale ta nie nadchodziła. Siostra uznała, żyć płonnymi nadziejami i dała sobie spokój.

W 1958 roku Chruszczow pozwolił zesańcom wrócić do domu. Rodzina Gheorghe nie wiedziała co robić. Nie wiedzieli, czy mają do czego wracać. Wiedzieli jednak, że nie będą wracać w komplecie. Dwie starsze siostry pojedą za mężami. Jedna poznała Azera w fabryce makaronu, a druga Litwina podczas wycinki lasu. Wszyscy zaczęli jednak oszczędzać pieniądze i snuć plany.

Siostra otrzymała telegram. Treść była krótka: „Leci samolot z Magadanu do Vanino w Kraju Chabarowskim. Warlamow, Eremi Moisewić”. Przybiegła wieczorem do domu. Nie mogła uwierzyć. Nazwisko było zruszczone, bo przecież nazywają się Virlan, ale to musiał być ojciec. Siostra była podekscytowana. Gheorghe nie. Powiedział tylko „*mnie eta po barabanu*” - wszystko mi jedno.

Następnego dnia odebrała telegram o treści: „Leci samolot z Vanino do Irkucka. Warlamow, Eremi Moisewić.” Od razu dała znać matce, żeby jak najszybciej przyłączyła się do Bodaibo.

Trzeciego dnia dostała telegram: „Leci samolot z Irkucka do Bodaibo. Warlamow, Eremi Moisewić.” Kazła Gheorghe wziąć służbowe sanie i pojechali na lotnisko. Samolot z Irkucka lądował raz dziennie, nie mogli się minąć.

Trudno było go poznać. Nie widzieli się czternaście lat. Siostra wypatrzyła go w małej grupie wysiadających z samolotu. Biegła ze łzami w oczach. Gheorghe tylko się przyglądał. Jego ojciec nie przypominał tego mężczyzny z kilku rodzinnych zdjęć, jakie widział. Nie poznałby go na ulicy. Siostra ścisnęła ojca, płakała, całowała. Wreszcie powiedziała mu, że ten oto młody mężczyzna, to Gheorghe, jego najmłodsze dziecko. Był równie zmieszany jak jego syn. Byli sobie całkiem obcy, ale fizycznie niezaprzeczalnie podobni.

Matka rzuciła wszystko, wzięła córki z Amalyk i wsiadła na barkę do Bodaibo. Nic jej nie tam nie trzymało i nie zamierzała zostawać ani chwili dłużej teraz, kiedy znów cała rodzina mogła być w komplecie.

Długo rozmawiali, mieli sobie tyle do opowiedzenia. Ojciec też jechał kilka miesięcy pociągiem. Potem statkiem do Magadanu. Stamtąd zagnali go pieszo do kopalni złota. Miał w niej odpracować dwadzieścia pięć lat. Po czternastu ogłosili amnestię. Zwolnili go od pracy

w kopalni, ale bez prawa powrotu do domu. Takie pozwolenie można było otrzymać tylko osobiście w Moskwie. Ojciec postanowił, że całą rodziną wrócą na ojcowiznę, a żeby to zrobić pojedą do Moskwy po pozwolenie. Ojciec nie zamierzał marnować ani jednego dnia więcej. Poprzysiągł sobie, że nie umrze na obcej ziemi.

Gheorghe bał się wracać, ale zaufał ojcu. Pojechali we trójkę, razem z matką. Wsiedli na barkę, potem do pociągu. Poznali się lepiej przez te dwa tygodnie, chociaż ojciec pozostał kimś obcym. W Moskwie okazało się, że w związku z amnestią aplikujących o pozwolenie na powrót jest mnóstwo. Ustawili się w kolejce i czekali. Trwało to trzy dni i trzy noce. Kiedy wreszcie stanęli przed urzędnikiem ojciec powiedział, że kopał złoto przez czternaście lat, został zwolniony z kopalni i teraz nie jest już nikomu nic winien. Rodzina straciła majątek, odpracowali swoje przez dziewięć lat zesłania. Urzędnik wziął formularz i napisał na nim „Pozwala się obywatelowi na zamieszkanie w dowolnym zakątku Związku Radzieckiego”. I już.

Wyszli na ulicę oniemiaли. Patrzyli na samochody, na autobusy pełne ludzi, na spieszących się gdzieś przechodniów, milicjantów patrolujących ulice. Młody

chłopak sprzedawał „Prawdę”, grupa ludzi wchodziła do restauracji. A oni stali tak z kawałkiem papieru, bez którego musieliby wracać w tajgę, zbierać chrust na opał i wyczekiwać dnia, kiedy ktoś pozwoli im pojechać do domu.

Siostry zostały na Syberii, na wszelki wypadek, gdyby okazało się, że w Mołdawii nie ma do czego wracać.

Wsiedli w pociąg do Kiszyniowa. Na miejscu zastała ich wiosna. Świeciło słońce, było ciepło i przyjemnie. Wyszli na ulicę Dworcową, a potem na bulwar Pracy. Patrzyli na ludzi i nie wierzyli. Wielu chodziło boso. Nawet na Syberii ludzie mieli buty. Najgorsze, najpodlejsze, noszone latami, ale były. Szybko wrócili na dworzec. Stało pod nim kilka ciężarówek. Podeszli do jednej z nich i dogadali się z kierowcą. Ojciec dał mu kilka rubli, wsiedli na pakę i pojechali do domu, do Verejeni w rejonie Telenești.

Na miejscu okazało się, że w ich domu ulokował się przewodniczący rady wiejskiej. Następca tego, który przyszedł do nich czternaście lat wcześniej. Przywitał ich opryskliwie i kazał iść do diabła. W końcu oznajmił, że mogą odkupić swój dom i ziemię. Zażądał półtora tysiąca rubli, czyli odpowiednik dwuletnich zarobków



robotnika. Mieli odłożone dość pieniędzy. Zapłacili. Wysłali telegram do sióstr, że jest do czego wracać. Przyjechały te dwie, które jeszcze nie były mężatkami.

Ojciec postanowił, że zbudują nowy dom, bo zaczynają nowe życie. Zamieszkali kątem u wuja. Każdego dnia Gheorghe z ojcem pracowali przy budowie, a matka i siostry w ogrodzie. Na początek rozebrali stary dom. Był bardzo zaniedbany i nie było już sensu go remontować. Wykopali dół i położyli nowy fundament. Na więcej nie starczyło czasu przed zimą. Pieniądzy też zaczęło brakować. Gheorghe wsiadł do pociągu i wrócił do Bodaibo. Zamieszkał u siostry i podjął pracę, jako ślusarz, w tej samej fabryce, w której jako dziecko był pomocnikiem spawacza.

Wrócił wiosną. Zabrali się z ojcem do roboty. Do jesieni udało im się postawić mury i zawiesić wiechę. Pili wino, świętowali. Ojciec był szczęśliwy. Nie dość, że nie zginął na nieludzkiej ziemi, to jeszcze wrócił na swoją. Gheorghe czuł się obco w Verejeni. Wrócił więc do siebie, do Bodaibo. Mieszkał z siostrą i jej mężem Azerem i znów zatrudnił się w tej samej fabryce. Kolejną wiosną pojechał pomóc rodzicom w gospodarstwie. Ojciec ciężko chorował. Nikt nie wiedział na co. Był coraz

słabszy i nie mógł pracować. Wreszcie zmarł we śnie, we własnym domu, na ojczystej ziemi.

Gheorghe nie mógł zostawić matki samej. Nie wrócił już do Bodaibo. Rok później zmarła i matka. Wiedział, że rodziców trzymała przy życiu tylko nadzieja, że kiedyś znów będą razem we własnym domu.

Kolejnego roku zmarła jeszcze siostra, która mieszkała z rodzicami. Druga wyszła za mąż w Verejeni. Żona Azera rzuciła pracę w fabryce makaronu i wyjechała za mężem do Azerbejdżanu. Ostatnia siostra pojechała za swoim na Litwę. Gheorghe ożenił się krótko po śmierci rodziców i zamieszkał z żoną. Zbudował dom obok domu teściów, posadził wino i wykopał piwnicę. Później podciągnął kabel i włączył światło. Niedawno obchodził osiemdziesiąte urodziny. Przetrwał wojnę, głód, deportację, Stalina i wreszcie sam Związek Radziecki. Wrócił, założył rodzinę. Przeżył z żoną sześćdziesiąt lat. Wychowali troje dzieci i ośmioro wnucząt. Dziś Gheorghe słabo słyszy. Porusza się powoli i często łzawią mu oczy. Wyciera je lewą dłonią, w której zostały mu dwa palce. Pozostałe stracił podczas wypadku w fabryce. Żona przygarbiona starością chodzi po domu opierając się o meble. Kiedy siedzę przy suto zastawionym stole, Gheorghe dolewa mi młodego wina

ze swojej piwnicy. Rozmawia z żoną, żartują. Co jakiś czas śmieją się. Są piękni.

- Wiesz, w życiu najważniejsze jest zdrowie i kochający ludzie wokół ciebie – mówi mi znad talerza z kurczakiem w galarecie – dom, gospodarkę, pieniądze możesz zdobywać całe życie, a stracić w jednej chwili. U nas luksusów nie ma, ale póki mamy swoje kury, warzywa i wino, to mamy wszystko.

Gheorghe niczego nie żałuje. Nigdy już nie wrócił na Syberię, choć zawsze za nią tęsknił.